

Na garnuszku u królowej

9 maja 2013

Do niedawna stwierdzenie „bezrobotny emigrant z Europy Wschodniej na zasiłku” było oksymoronem albo nagłówkiem w prasie brukowej, który spędzał sen z powiek Polonii. Teraz to coraz częściej smutna rzeczywistość, która jeszcze bardziej irytuje mieszkających w Wielkiej Brytanii Polaków.

Nowy, 2013 rok Brytyjczycy przywitani z nadzieją. Po pełnym perturbacji, załamaniu gospodarczym, zamieszkach, skandalach, frustracji i ogarniającej, przejmującej beznadziei roku 2012 wydawało się, że gorzej już być nie może. Że ekonomiczna niemoc sięgnęła dna. Przecież na walkę z kryzysem wytoczono stare, sprawdzone w latach 1970. przez Żelazną Damę armaty liberalnego kalibru. Cięcia, zaciskanie pasa i zwolnienia w sektorze publicznym miały dolać paliwa biznesowi. Rozruszać gospodarkę. Naoliwić zardzewiały rynek pracy. Strzał z przestarzałej armaty okazał się jednak niewypałem. Neoliberalna kula trafiła w płot. Gospodarka się krztusi, bezrobocie rośnie. Według oficjalnych danych bez pracy jest 2,68 mln osób. Ale związek zawodowy TUC dorzuca jeszcze kolejne trzy z kawałkiem. To osoby, które utknęły w pracach na pół etatu. Niskie płace, brak stabilizacji i bezpieczeństwa oraz mało godzin. Szans na pełne zatrudnienie nie ma. Statystyka jest nieubłagana. Na każdą ofertę pracy przypada sześciu chętnych. Jak na miejsce na dobrym uniwersytecie.

WSTYDŹ SIĘ, POLAKU!

Na zasiłkach lądują też coraz częściej Polacy, co jest szokiem w polonijnej percepcji. To przecież miejscowi i przybysze z innych kontynentów zawsze uważani byli przez polskich pracusiów za leniwych, pазernych na benefity, nastawionych roszczeniowo darmozjadów, którym za pensję minimalną nie chciało się nawet wstać z kanapy. Woleli cały dzień oglądać telewizję, a w przerwach między X Factorem a Dancing with

Stars robić sobie dzieci. Żeby mieć kolejne wymówki, a zwłaszcza kolejne zasiłki. Degeneracja. Alkoholizm. Hańba. Moralny upadek. Społeczne pasożytnictwo. W tym krzywym zwierciadle Polak pracujący na dwa etaty czuł się jak zwycięzca. Zdobywca. Grzał własne ego w ogniu wyższości.

Mirek miał tak przez wiele lat. Bo przecież nie znał angielskiego, a tyrał na dwa, czasem trzy etaty. Poznaliśmy się pięć lat temu. Mirek wtedy zasuwał na świńskiej farmie, a ja o pracy na roli musiałem napisać artykuł. Wibrował wówczas witalnością, pewnością siebie, zaradnością i wplecionym w polskie DNA cwaniactwem. Szef był głupi. Weterynarze byli głupi. Brygadziści byli idiotami. Żona farmera? Kompletna intelektualna porażka. A bezrobotni „Brytole” to już w ogóle dno. No bo patrz pan. On, tak jak prezydent, ani be, ani me, ani tym bardziej kukuryku w tej ich cholernej mowie, a pracy miał na pęczki. W fabryce pracował, na farmie, a wieczorami, jak miał wolne, to jeszcze biura czasem sprzątał. Był kwintesencją „wąsatego Mariana” pomimo zupełnie innego imienia i braku wąsa. W ortalionie, w spodniach kupionych na bazarze, z czapeczką z przyblakłym logo Shella i z dumą zdobywcy. Z przekonaniem o swojej wyższości nad „leniwymi Brytolami”.

A potem przyszedł kryzys. Mirek śmiał się z wystraszonych doniesieniami prasowymi „Angoli”. Bo oni kryzysu na oczy nie widzieli. W Polsce w latach 90. to był kryzys. Bezrobocie 25 proc. Zakłady padały jak muchy, a zasiłków nie było, bo państwo wychodziło ze słusznego założenia, że jak ktoś nierobotny, to nieprzydatny i po jaką cholere takiego karmić za nic nierobienie. Ale z każdym miesiącem było mu już mniej do śmiechu. Najpierw padła fabryka. Maszyny spakowali i wywieźli gdzieś tam. Potem farmer, jęcząc coś o katastrofie, dawał coraz mniej godzin, aż w końcu całą robotę zaczął wykonywać tylko z synami. Biurem zaopiekowała się zaś jakaś specjalistyczna firma – za minimalną stawkę i z Bułgarami robiącymi prawie za darmo. Mirek machnął ręką na to wszystko i pomyślał, że zacznie gdzieś indziej od nowa. O zasiłku nie

myślał. Jak to? Widział ktoś polskiego emigranta na zasiłku? Nawet jak wcześniej jakiś Polak tracił pracę, to zakasał rękawy i znajdował coś innego w ciągu kilku dni. Najdalej tygodnia. A jeśli nie, to pakował walizki i jechał do innego miasta. A w ostateczności, jak już był kompletnym nieudacznikiem, wracał do mamusi. Ale żeby brać zasiłek dla poszukujących pracy? Honor nie pozwalał. Honor emigranta. Duma przyjezdnego.

CZEKAJĄC NA PUSTY UMYŚŁ

Dziś twarda rzeczywistość wzięła górę nad jakimś tam honorem. Mirek pobiera pełny zasiłek dla szukających pracy i dodatek do mieszkania. A właściwie do pokoju, który wynajmuje od landlorda. Żony nie ma. Kiedyś była, ale ich drogi rozeszły się jeszcze w Polsce. Bo to może nie była zła kobieta, ale dobra też nie. Pieniędzy mu jak na razie wystarcza, bo żyje skromnie. Kupuje najtańsze produkty spożywcze. Ser, jajka, kefir. Gotuje sam. Kiepsko, ale pożywnie. Czasem schabowy, czasem pierś z kurczaka. Z mięsem umie się obchodzić. Jeszcze w Polsce przez lata był rzeźnikiem. Kiełbasy robi takie, że palce lizać. Ale tu wędzarni nie ma. Więc kupuje coś, co udaje szynkę, a jego rzeźnicze serce płacze ze smutku. Od czasu do czasu jakiś owoc. Co trzy dni chleb. Prawdziwy. Polski. I dużo ziemniaków, bo ziemniaki są tanie. Prawie wcale przyjemności. Czasem tylko piwo, jak go złapie poczucie beznadziei. Tak żeby jakoś zagłuszyć te niedobre myśli, co kołaczą się w głowie. Te ze słowem na „n”. Nieudacznik to brzmi źle. Do tego jeszcze bycie uznanym za nieudacznika jest żelaznym sojusznikiem wszystkich wytwórni wódek, likierów i piw na świecie, a kto nie daje tym wytwórniom zarabiać, zwalczany jest przez swój własny umysł jego najlepszą bronią: rozmyślanie. Rozmyślanie jest zabójcze. Człowiek katowany jest przez myśli całymi dniami, wycieńczony nigdy niezaspokojoną pustką umysłu, maltretowany i osłabiony. A na bezrobociu głowa pęka od nadmiaru myśli. Złych myśli. Autodestruktywnych. Takich, co wpędzają człowieka w ciemny pesymizm. Mówią mu, że coś z nim

jest nie tak. Że to wszystko z jego winy. Bo mógł pracować trochę więcej. Wkładać nieco więcej wysiłku. Bo do obowiązków podchodził z nonszalancją, myśląc, że jakby co, to inny szef i inna praca czekają tuż za rogiem. Tymczasem za rogiem jest tylko pustka. Nicość. Za to wielu chętnych. Z lepszą znajomością języka, młodszych, z większym doświadczeniem i wyższym wykształceniem. A w kolejce przed nimi czekają przecież jeszcze sami Brytyjczycy.

I w obecnej sytuacji pracodawcy wolą swoich. W kryzysowych czasach nacjonalizmy i lokalny patriotyzm biorą górę nad kosmopolityzmem i pragmatyzmem. Więc Mirek czeka. Na lepsze jutro. Bo na razie to szkoda gadać. Czas stoi w miejscu, wybawienie nie przychodzi. Budzik jak zawsze dzwoni o piątej. Niezmiennie przez całe życie. Trzeba wstać. A nie ma sił. Psychicznie taki stan nastraja strasznie. Człowiek czuje się rozbity. Jak stary, zapomniany bibelot. Zgaszony, bezzębny, niepotrzebny. Więc pije! Przeciw stresowi, na pohybel rozpaczy, na przekór marazmowi. Tylko na to go stać.

WSTYD I NIEMOC

Kasia nie pije, ale za to jest zmęczona. Permanentnie. Zmęczona zasypia i zmęczona się budzi. Dziwne, bo myślała, że na zasiłku odpocznie. Może to nadmiar cukru? Albo soli? Za mało owoców, za dużo kawy? Nigdy tak się nie czuła. Nawet przez ostatnie trzy lata, kiedy na pół etatu pracowała jako kelnerka i była studentką na pełen etat. Rano uczelnia. Wieczorem knajpa. W dni wolne zajęcia z hiszpańskiego, wypadu za miasto z przyjaciółkami, lekcje jazdy konnej. Owszem, bywała zmęczona, ale nie tak jak teraz. A przecież prawie nic nie robi. Rano wysyła CV, potem spaceruje, robi zakupy, wieczorem ogląda filmy. Gdyby nie te CV, to wypisz wymaluj życie emeryta. A może o to chodzi? Zmęczenie bezczynnością? A do tego jeszcze poczucie niemocy i wstyd. Bo w najgorszych nawet koszmarach nie przewidywała, że bez pracy będzie tak długo. Całe cztery miesiące! Kiedy skończyła studia z ekonomii, w knajpie przeszła na pełen etat, ale dopadło ją

zniechęcenie. Nie po to zarywała noce na nauce, wlewała w siebie hektolitry kofeiny, oszczędzała na przyjemnościach, żeby teraz z dyplomem w ręku serwować drinki. Więc rzuciła knajpę z myślą, że szybko coś znajdzie. Coś zgodnego z jej kwalifikacjami i aspiracjami. Tygodnie mijały, listy motywacyjne zapychały skrzynki potencjalnych pracodawców, a telefon milczał. Milczy tak do dziś. Ze spuszczoną głową udała się więc do Urzędu Pracy. I przeżyła szok. Cała masa ludzi, a do tego jeszcze nie tak, jak się spodziewała, degeneratów i chavsów. Wszystkie roczniki i wszystkie klasy społeczne. No może oprócz arystokratów. A na czołach stygmat bezrobotnego. Kasia odczuwa jeszcze większy wstyd. Zwłaszcza kiedy wywołują jej nazwisko kończące się na „-ska”. Wtedy czuje na sobie ciężar wzroku Brytyjczyków. Serce jej łomocze i poci się strasznie. Czuje, że zawiodła siebie, rodzinę, znajomych, Brytyjczyków i Polaków na Wyspach też. Wie, że to głupie, ale nie może się tej myśli pozbyć. Przywitano ją tutaj z otwartymi rękoma, dano miejsce na uniwerku, a teraz ona nie może spłacić długu. Widzi na sobie wzrok pełen pogardy. Nawet u swojego doradcy ds. zatrudnienia, jak go w myślach nazywa. Co miesiąc coś do niej mówi, a ona wpatruje się w jego poplątaną brodę i brudne, długie paznokcie. Coś pisze na komputerze i bezradnie opuszcza ręce. Odcięła się zaraz po tym, gdy na którymś spotkaniu pokazał jej ogłoszenie o pracy w restauracji. A myślała, że nisko płacone, odmóżdżające prace zostawiła już za sobą. Brodacz jednak powiedział, że musi być bardziej realistyczna. Przytaknęła, ale nie zaaplikowała. Skłamała jednak, żeby nie stracić zasiłku. Nie może sobie na to pozwolić. Oszczędności nie ma prawie żadnych. Zostaje tylko nadzieja. A ta – wiadomo czyją jest matką.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)